Leopold Sobolewski “Wrzos” - partyzant Armii Krajowej, oficer Wojska Polskiego, botanik, inżynier rolnictwa, malarz amator

Redakcja wspomnień: Janusz L. Sobolewski



mjr w st. spocz. inż. LEOPOLD SOBOLEWSKI

(28.11.1921 - 10.04.2006)

Leopold Sobolewski

"Wrzos" -

tak miało być, czyli diamenty na piasku

A kiedy poznasz ziemię całą
milion gwiazd jeszcze pozostało
a kiedy i gwiazdy znasz na niebie
musisz poznać jeszcze siebie.
(M. Konopnicka)



Film opublikowany na YouTube 14 lutego 2008 r.:
https://www.youtube.com/watch?time_continue=8&v=iQjPUel8WWg

Wspomnienie Leopolda Sobolewskiego: http://www.wspomnij.eu (2018)

Moi rodzice, Anna i Adam, siostra Halina, bracia...

Moi rodzice, a także dziadkowie z obu stron: po mieczu i kądzieli, pochodzą ze wsi Kulesze, oddalonej o siedem kilometrów od Moniek. Wieś ta należała przed wojną do parafii Trzcianne, rozłożonej w widłach Biebrzy i Narwi. W Trzciannem była gmina, jarmark, kilka żydowskich sklepów i kościół. W tym kościele wszyscy zostaliśmy ochrzczeni, i ja również.

Mieszkańcy Kulesz dzielili wieś na trzy sektory: na "dołek", "gubernię" i na "szlachtę". Na "dołku" mieszkała między innymi rodzina mojej matki, czyli Waszkiewicze. W "guberni", czyli w środku wsi, mieszkał sołtys i kilku innych gospodarzy. Na "szlachcie", części pod lasem, mieszkała rodzina mego ojca, czyli Sobolewscy. Ale wszyscy w tej wsi, i ci z "dołka", i ci ze "szlachty", szli w niedzielę do kościoła na bosaka, wkładając buty dopiero na końcu drogi, dziwiąc się, że bogaci panowie chodzą w butach przez cały dzień. Chodzą w butach, które przecież pieką i cisną w palce.

W Kuleszach mieszkano w chatach - czworakach z czterema izbami dla czterech rodzin. Podłoga kuchni była wyłożona płaskimi kamieniami, a alkierz, czyli pokój paradny, miał podłogę drewnianą. Przed wejściem do każdego domu leżał wielki płaski kamień, a na nim drugi, mniejszy. Kamienie te zastępowały schody. Dachy domów kryła gruba warstwa słomy, na której od lat rosły różne porosty i mchy, więc te dachy wyglądały zielono.



Za moich młodych lat żyło we wsi co najmniej dziesięć rodzin Waszkiewiczów i wszystkie one były jakoś spokrewnione. Mój dziadek Jan Waszkiewicz, jego brat Antoni, drugi brat Feliks, potem Piotr i inni, dalsi, wszyscy ci bracia, wujkowie, szwagrowie, zasiedzieli na tych ziemiach, w tej wsi, dziad z dziada, od wieków, posiadali przeważnie

średnie gospodarstwa, byli pracowici i przyjaźnie usposobieni. Nigdy nie słyszałem, by między nimi dochodziło do jakiś zatargów. Oczywiście zdarzało się, że krowa jednego Waszkiewicza weszła na zagon drugiego i zniszczyła uprawę. Wtedy pokrzywdzony otrzymywał odszkodowanie pieniężne albo w naturze.

Rodzina Waszkiewiczów, Sobolewskich, Januszewskich, Jaworowskich, Kulików i inne rodziny nie posługiwały się nazwiskami. Jedynie imionami. Mówiło się: "Idź do Janków po sól" albo "Przynieś od Felków worek kartofli, a potem zanieś do Piotrków koszyk...". Mieczysławów było co najmniej trzy rodziny. W takich przypadkach do imienia dodawano miejsce zamieszkania: "Pytali o ciebie Miećki z gościńca" albo "Miećki ze smużków (znad łąk) pożyczyli kosę". Bywało, że kiedy ludzie zaglądali do urzędowych papierów rodziny, to nie wiedzieli, o kogo chodzi.

Dziadek Jan Waszkiewicz zmarł w wieku siedemdziesięciu trzech lat, chorował na prostatę, a babcia Franciszka zmarła w wieku dziewięćdziesięciu trzech lat ze starości. Oboje pochowani są na cmentarzu w Downarach. Dziadek należał do ludzi wesołego usposobienia. Nie miał nogi, stracił ją w carskim wojsku. Z tego tytułu pobierał rentę inwalidzką, która wynosiła dwanaście złotych (tyle kosztowało sto kilogramów żyta). Lubił chodzić na zabawy; bez nogi, siadał w kącie izby i słuchał, jak grają.

Dziadkowie mieli czterech synów i cztery córki: najstarszą Annę (moją matkę), Stanisława, Władysława, Marię, Jana, Genowefę, Mieczysława i Bronisławę. Żyje jeszcze jeden brat matki, Jan, który ma osiemdziesiąt pięć lat, i jedna siostra Bronisława, która ma siedemdziesiąt dwa lata. A ja mam osiemdziesiąt lat. W rodzinie matki spędzałem swoje dzieciństwo, u dziadków Waszkiewiczów, których bardzo kochałem, a oni kochali mnie.

U dziadków było czyściutko. W kącie pokoju, na stole, pod lnianym obrusem, leżał zawsze bochen razowego chleba. Przy ścianach stały rozsuwane łóżka ze słomą, zaścielone lnianymi prześcieradłami. Na wierzchu leżały pierzyny, przykryte wełnianymi narzutami, i jedna na drugiej wielkie poduchy.

Na środku kuchni stał stół na niskich nogach. Przy nim spożywano wszystkie posiłki, przysiadając na stołeczkach. Gotowano śniadania jak obiady: zawsze zupę mleczną, potem barszcz lub kapustę, podawaną w oddzielnych talerzach, i kartofle w jednej misie dla wszystkich, po które sięgało się łyżkami. Każdy dostawał po kawałku mięsa. Kto chciał, to brał sobie maślankę lub zsiadłe mleko do popicia. Podobnie wyglądał obiad, także i kolacja.

Samowar i pępuchy

Herbatę piło się tylko w niedzielę i to nie w każdą. Na taką okazję biegło się po wodę do źródła, które znajdowało się tuż za strugą w olszynie, gdzieś sto metrów za domem. Przez strugę przechodziło się po dużych kamieniach. Babcia nastawiała samowar; wkładała do niego rozżarzone węgle drzewne, a na górze ustawiała zbiornik z wodą. Po zagotowaniu wody parzyła herbatę, przechowywaną razem z cukrem jak skarb w kuferku. Ależ ta herbata smakowała! Piliśmy herbatę i jedliśmy pępuchy, czyli takie pączki, tyle że bez marmolady i z grubej mąki, mielonej ręcznie na żarnach. Przepadałem za pępuchami.

Lubiłem u dziadków niedziele, bo nie musiałem paść krów. Chodziłem nad naszą strugę czystą jak łza i pełną przeróżnych ryb. W olszynie rosły maliny i porzeczki. Często siadałem nad tą strugą, blisko źródła, i patrzyłem jak bulgoce woda i nie raz miga jak błyskawica szczupak.



L. Wrzos, akwarela, 39x30 cm, 1953 r.

Domy malowano wapnem na biało zawsze przed Wielkanocą, także ściany wewnątrz domów. A na Zielone Święta strojono je brzeziną, podłogę posypywano pociętym tatarakiem. Stawało się miło, pachnąco, świątecznie.

Pomimo tej dezynfekcji wapiennej w każdej chałupie latało pełno much. Starzy śmiali się ze mnie, bo oganiałem się przed nimi. Im muchy nie przeszkadzały. Ale moja babcia, kiedy tego paskudztwa nazbierało się za dużo, plotła miotłę z bylicy, czyli z takich zielsk jak piołun, opryskiwała ją mlekiem i wieszała pod sufitem. Gdy udało się skusić trochę much, brała worek i nasuwała go na miotłę. Potem wynosiła z domu ten worek z miotłą i muchami i tłukła nim o drzewo lub ścianę domu. Głównie po to, bym ja mógł spokojnie posiedzieć.

Gdy mieszkałem z rodzicami i rodzeństwem już w podbiałostockich Starosielcach, gdzie ojciec dostał pracę na kolei, przyjeżdżałem do dziadków na wakacje. Syn dziadka brata - Antoni Waszkiewicz w niedzielny wieczór brał skrzypce i ze swoim bratem Bolesławem wychodził przed dom. Grali obaj różne tam polki i obertase, Antoni na skrzypcach, Bolesław na tamburynie, czyli bębenku z blaszkami. Od razu zbierała się młodzież i tańczyła, starsi sobie, dzieci sobie. Kto miał buty to w butach, kto nie miał, to tańczył na bosaka, zarówno chłopcy, jak i dziewczyny. Radośnie i beztrosko.

Pamiętam u dziadków i smutne dni. Wiosną 1932 lub 1933 roku przyjechałem z matką na pogrzeb Stanisława, najstarszego brata matki, mego wujka. Stanisław zaraził się gruźlicą, miał dwadzieścia trzy lata. W tym czasie młodszy wujek Władysław służył w wojsku, w kawalerii. Gdy wyprowadzali trumnę z domu, jeszcze go nie było.

Na pogrzeb przyszła cała wieś. Trumnę niesiono na ramionach ze śpiewem pieśni pogrzebowych. W tym czasie Władysław z przepustką z wojska szedł pieszo z Moniek. Kiedy zbliżył się do wsi, usłyszał śpiewy. Wówczas zaczął biec przez pola, przez zboża, na przełaj do krzyża, do którego dotarł kondukt. Gdy babcia zobaczyła, jak biegnie, w długim płaszczu wojskowym, w butach, czapce, z ułańską szablą przy boku, to zemdlała. A on dopadł do trumny brata, objął ją rękami i płakał. Czapka zsunęła się mu na ziemię. Wszyscy zebrani też płakali. Takich scen nie zapomina się nigdy.

Rodziny ojca nie znałem dobrze, bo dziadkowie ze strony ojca wcześnie - kiedy byłem bardzo małym chłopcem - poumierali. Wiem jedynie, że dziadek miał na imię Seweryn, a babcia - Paulina. Posiadali gospodarstwo średniej wielkości, gdzieś dziesięć hektarów, czterech synów: najstarszego Adama (mego ojca, rocznik 1894), Antoniego, Stanisława, Izydora. Po śmierci dziadków Sobolewskich na gospodarstwie pozostał Antoni, a Stanisław

poszedł w tzw. przystępy, czyli na gospodarstwo żony, i przeniósł się do wsi Zubole, tuż obok Trzciannego, i zabrał ze sobą Izydora.

Cud Hallera

Po wybuchu wojny w 1914 roku ojciec został powołany do wojska carskiego i jako żołnierz rosyjski walczył pod Murmańskiem. Tam dostał się do niewoli niemieckiej. Wziętych do niewoli żołnierzy, w tym ojca, Niemcy przewieźli pod granicę francuską, aby tam kopali okopy i budowali fortyfikacje, broniące przed spodziewanym uderzeniem Francuzów. Memu ojcu i kilku innym Polakom udało się pewnej nocy uciec na stronę francuską po zabiciu wcześniej niemieckiego psa, który ich pilnował. Nie tułali się długo. W tym czasie generał Haller tworzył we Francji polską armię, tzw. "błękitną", więc Francuzi skierowali ojca i pozostałych uciekinierów od razu do "błękitnych".

W 1919 roku Haller ze stoma tysiącami żołnierzy, w tym z moim ojcem, ruszył do Polski, wzmacniając polskie siły zbrojne. Kiedy w roku 1920 zaatakowali bolszewicy, Haller objął dowództwo Frontu Północno-Wschodniego, wspomagając Piłsudskiego. Odniesiono zwycięstwo, zwane "cudem nad Wisłą", a memu ojcu, który w swej cząstce przysłużył się temu "cudowi", po przejściu do cywila przyznano status "obrońcy Ojczyzny" i w związku z tym pierwszeństwo w otrzymaniu pracy w przedsiębiorstwach państwowych, takich choćby jak kolej.

Stryjów swoich, czyli braci ojca, poznałem w czasie okupacji niemieckiej. Stryj Stanisław był człowiekiem pracowitym, takim że gdy wszystko zrobił w domu i zagrodzie, to naprawiał buty domownikom. Nie umiał posiedzieć bez pracy. Nie widziałem go z pięćdziesiąt lat, więc pewnie nie żyje. Z jego synem Jarosławem, inżynierem melioracji, spotkałem się kiedyś na zjeździe rolniczym w Warszawie. Prosił mnie bardzo, bym go odwiedził, a ja nie zrobiłem tego do dziś. Jarosław mieszka w Mińsku Mazowieckim.

Brata ojca - Antoniego widziałem jeden raz, nie znałem go więc prawie.

O stryju Izydorze wiem trochę więcej, bo opowiadał o swoich przeżyciach. We wrześniu 1939 roku został powołany do wojska i walczył jako ułan w Prusach Wschodnich. Oddział kawalerii, w którym służył, po trzech tygodniach walk został otoczony przez Niemców i wybity. Około dwudziestu ludzi, w tym jego, wzięto do niewoli. Po dwóch tygodniach Niemcy wyprowadzili ich do lasu i kazali się rozbierać. Ustawili wszystkich w szeregu. Gdy tak stali, zauważyli przed sobą, w odległości trzydziestu metrów, przykryty gałęziami ręczny karabin maszynowy. Kiedy Niemiec zaczął iść w kierunku karabinu, rzucili się do ucieczki. Przebiegli kilkadziesiąt metrów w różne strony, zanim rozległy się strzały. Ilu ułanów zginęło, nie wiedział, ale jemu udało się uciec. Pół dnia szedł lasem, w bieliźnie, w nieznanym kierunku. Bał się natknąć na kogokolwiek. Pod wieczór zobaczył z dala zabudowania. Nie wiedział, czy mieszkają w nich Niemcy czy Mazurzy - Polacy, więc czekał, aż zrobi się ciemno. Nocą podszedł pod stodołę. Po drabinie, przez dziurę w szczycie, wskoczył do środka. Zakopał się w słomie i czuwał. Rano usłyszał otwierane drzwi i głos gospodarza, poklepującego konia: - No, nastąp się. - Ucieszył się. Gospodarzem był polski Mazur.

Po pewnym czasie cicho wyszedł z ukrycia. Mazur przestraszył się, ale kiedy Izydor opowiedział mu o swoim położeniu i poprosił o pomoc, sprezentował mu starą kapotę, spodnie, ponadto nakarmił i dał jedzenie na drogę. Do tego powiedział, jak ma iść, by nie wpaść w ręce... bolszewików, bowiem tereny Białostocczyzny zajęli Ruscy po 17 września 1939 roku. Stryj podziękował za wszystko i ruszył lasami do Doliny Biebrzy. W dzień ukrywał się, w nocy szedł. Kiedy z odległości pięćdziesięciu metrów usłyszał za sobą głosy wołających na siebie ruskich żołnierzy, domyślił się, że udało mu się przekroczyć granicę niemiecko - rosyjską. Poczuł się pewniej. Po jednym dniu marszu doszedł do bagien

nadbiebrzańskich. A potem do domu, do wsi Zubole, położonej osiem kilometrów od rzeki Biebrzy.

A jednak Izydor zginął od kuli niemieckiej... W czasie okupacji pracował w gospodarstwie. Ktoś wydał go Niemcom, bo pędził wódkę. Ci przyszli po niego, gdy spał w stodole na ruszcie, na strychu. Usłyszał ich. Jeden z Niemców zaczął wchodzić na górę po drabinie. Nie czekając, wygrzebał dziurę między żerdziami, na których leżała słoma, i skoczył w dół, gdzie stały krowy, a za nimi kusiły otwarte drzwi. Drugi Niemiec zauważył to i strzelił. Zabił na miejscu. Gdyby stryj nie uciekał, to może przeżyłby wojnę. Takie było widać jego przeznaczenie.

Lasy, a opodal Roś

Było nas w domu sześcioro: rodzice i czwórka dzieci: Halina (urodzona w 1930 roku), Władysław (rocznik 1927), Jan (1924) i ja, najstarszy z rodzeństwa - Leopold (1921).



Ja najwyżej

Ojciec nie miał wykształcenia, więc pracował jako stały robotnik kolejowy. Stały, a więc taki, który nie może być zwolniony z pracy, w przeciwieństwie do robotników sezonowych. To było duże wyróżnienie, wynikające z przyznanego mu statusu "obrońcy Ojczyzny", zaszczyt raczej honorowy, bo zarobki ojca wystarczały ledwie na życie. Ojciec pracował w Warsztatach Kolejowych w Starosielcach, przynależących do Dyrekcji Wileńskiej Kolei, obejmującej swym zasięgiem całą północno-wschodnią Polskę aż po Brześć.

Matka zajmowała się domem. Była dobrą gospodynią. Umiała piec ciasta najlepsze na świecie.

W Starosielcach chodziłem do szkoły. Potem przeprowadziliśmy się, bo nastał kryzys gospodarczy. Zabrakło prawdopodobnie zamówień na budowane przez kolej wiadukty, pozwalniano robotników sezonowych, a dla stałych, takich jak mój ojciec, wyszukiwano miejsca pracy. Zaproponowano Wołkowysk z dużą parowozownią i służbowym mieszkaniem. Ojciec obejrzał miejsce pracy i zgodził się tam przenieść w 1936 roku.

W Wołkowysku (dziś to na Białorusi) żyło się nam o wiele lepiej niż w Starosielcach. Żywność była tańsza. Matka za wszelką cenę pragnęła, abym ukończył szkołę średnią. Do pierwszej klasy szkoły handlowej chodziłem jeszcze w Białymstoku, ale zawaliłem rok, bo nie miał mi kto pomóc w nauce. W Wołkowysku przyjęto mnie do szkoły handlowej na pierwszy rok bez żadnych egzaminów wstępnych. Do wybuchu wojny w 1939 roku zdążyłem

ukończyć trzy klasy. Nie zdążyłem z tą czwartą, ostatnią, przez to zawalenie jednego roku oraz wojnę i nie zdobyłem średniego wykształcenia.

Pokochałem Wołkowysk, bo wokół niego wszędzie rozciągały się lasy, opodal miasta płynęła piękna, czysta rzeka Roś, nad którą spędzałem każdy wolny czas: kąpałem się, pływałem kajakiem, łowiłem ryby.



L. Wrzos, olej, 240x137 cm, 1993 r.

Miałem prawie osiemnaście lat, kiedy po 17 września 1939 roku przyszli Sowieci. Podzielili ludność na Białorusinów i inną wspierającą oraz na ludność wrogą, głównie polską osadniczą, która przyjechała na te tereny po 1920 roku: rodziny wojskowych, policjantów, leśników, uprzywilejowane przez polskie władze. Rodziny te wywożono w głąb Rosji w 1940 roku. Mego ojca zaliczono chyba do wojskowych, skoro bił bolszewików pod Warszawą, i do nowo osadzonych na tej ziemi. Aresztowano go, załadowano do wagonu towarowego z dziurami w podłodze na odchody i w czterdziestostopniowym mrozie wywieziono w głąb Rosji. Bezpieka NKWD każdego prześwietliła. Ojciec i tak miał szczęście, że w tym czasie nie zginął. Zdarzały się wypadki, że ludzi rozstrzeliwano na miejscu, głównie policjantów, a przede wszystkim naczelników więziennych i wysokich urzędników.

Poznałem jego głos

Matka, bojąc się, aby i nas nie spotkał ten sam los, spakowała to, co zdołała udźwignąć, i wyjechała z nami do Kulesz, do swoich rodziców. U dziadków przezimowaliśmy, a na wiosnę wróciliśmy do Starosielc. Matka znalazła pokoik u swoich serdecznych przyjaciół Zofii i Antoniego Taleckich. Antoni Talecki był rzeźnikiem.

Pracowałem na różnych budowach jako pomocnik murarza. Nosiłem cegły, robiłem zaprawę murarską i wszystko, co trzeba. Zarabiałem osiem rubli dziennie, a bochenek chleba kosztował cztery. Raz miałem pecha, bo majster - łotr ulotnił się z wypłatą. Cóż, przyuczany do życia, popłakałem trochę.

Matka wstawała o czwartej rano i szła do sklepu w kolejkę. Kupowała, co przywieźli: naftę, sól, wódkę, czasami cukier, a potem wymieniała te artykuły na inne, przywożone do miasta przez chłopów. I tak żyliśmy do czerwca 1941 roku, kiedy to Niemcy uderzyli na Rosję, zajęli Kaukaz, zatrzymując się pod Moskwą i Leningradem. Wówczas wrócił ojciec.

Ojciec wrócił do Wołkowyska, ale nas nie zastał. Domyślił się, dokąd przenieśliśmy się. Przyjechał do Starosielc i poszedł do Taleckich, by o nas zapytać. Jakież było jego zdziwienie, że mieliśmy u nich swój pokój.

Gdy wszedł, nie poznałem go. Pomyślałem, że to człowiek chodzący po prośbie. Malutki, zgarbiony, z długą, siwiejącą brodą, w mocno zniszczonym kożuszku. Ten kożuszek zabrał jeszcze z domu. Dopiero, kiedy odezwał się, poznałem jego głos. Wszyscy zaczęliśmy płakać z radości, rzuciliśmy się sobie na szyję.

Matka postawiła przed ojcem talerz zupy i kawałek chleba. Bała się, by nie zaszkodziła mu większa porcja jedzenia. Był zagłodzony. Ważył czterdzieści kilogramów.

Wracał z Rosji prawie dwa miesiące. Jechał czym się dało: pociągami towarowymi, samochodami, wiele kilometrów szedł pieszo lasami, błotnistymi bezdrożami przez żyto. Jadł to, co znalazł: ziarna zbóż, warzywa, owoce, czasem ktoś dał mu kawałek chleba i zupę. Szedł żebrząc, ale doszedł, zachował jeszcze tyle sił, że wrócił.



L. Wrzos, olej, 217x122 cm, 1954 r. (wg Szyszkina)

Pracował jako więzień w kamieniołomach pod turecką granicą. Każdego dnia musiał wyrobić ciężką normę: natłuc ileś tam kamieni, ociosać głaz lub wywiercić odpowiednią ilość otworów. Gdy nie wykonało się normy, nie dostawało się jedzenia. Ale ojciec wyrabiał z normą. Chleb, który dostawał, chował zawsze pod pazuchą. Kładł go na piersi pod bluzę, by nie być okradziony przez współtowarzyszy - ruskich przestępców. Pewnego razu, kiedy spał na pryczy, poczuł, że ktoś mu wyciąga kożuszek spod głowy. Poderwał się i wyrwał go złodziejowi. Innym razem chciano ukraść mu buty, więc gdy szedł spać, wkładał je na nogi.

Karmiono ich podle rozgotowaną kaszą, polaną olejem, kukurydzą, czasami zupą z mąki, w której pływały nitki makaronu. Kartofli nie mieli. Wieczorem i rano dostawali porcję chleba i gorzką kawę z mielonego palonego zboża.

W domu ojciec zaczął z czasem przybierać na wadze. Powoli doszedł do siebie, skóra na twarzy wybieliła się. Poszedł do pracy na kolej, bo trzeba było z czegoś żyć, poza tym u Niemców każdy musiał pracować.

Ja nie zarejestrowałem się i nie zgłosiłem się do pracy, bo wywożono takich jak ja młodych mężczyzn na roboty do Rzeszy. Poszedłem do wsi Przytulanka, pięć kilometrów od Moniek, do swojej ciotki Marysi Lewkowskiej z domu Waszkiewicz i pracowałem na gospodarstwie. Ciotka była sama, bo jej mąż Antoni trafił jako żołnierz do niemieckiej niewoli w 1939 roku. Miała jedynie chłopczyka chyba czteroletniego, więc potrzebowała kogoś do pomocy. Wcześniej pracowali u niej mój brat Władysław i mój brat Jan, co to utykał na nogę. Janek miał kilka lat, kiedy spadł z konia na wakacjach u dziadków w Kuleszach. Uderzył w kamień kolanem i został kaleką do końca życia.

Bez kłopotu wyrobiłem sobie paszport w gminie w Trzciannem, do której należała wieś Kulesze - miejsce mego urodzenia i zamieszkania dziadków.

Opór

W Przytulance nie siedziałem stale, często byłem w Kuleszach u dziadków lub na Zubolu u stryjów. Trochę handlowałem czym popadło, na przykład materiałami na suknie czy ubrania. Wymieniałem kosy, gwoździe na żywność, którą przynosiłem do domu w Starosielcach.

Nie mieszkaliśmy już u Taleckich. Zajmowaliśmy część domu przy ulicy Warsztatowej 7 w Starosielcach, którego właścicielami byli Kozłowscy. Stary Kozłowski był murarzem. Przed nami mieszkała w naszej części domu Genowefa Wysocka, bratowa Taleckiej, ale kiedy przyszli Niemcy, to ona zamieniła się z moimi rodzicami na lokale w kwaterunku i zamieszkała z rodziną.

Matce i ojcu pomagałem jak mogłem. Dwa, trzy razy w miesiącu przynosiłem ze wsi żywność: słoninę, masło, mięso, mąkę. W ciągu nocy przechodziłem czterdzieści kilometrów, a w następną noc wracałem czterdzieści kilometrów. Za dnia Niemcy rewidowali ludzi, spotkanych na drodze, i zabierali im to, co nieśli. W nocy to bali się wychodzić ze swoich placówek, ogrodzonych kolczastym drutem, bo działała już partyzantka.

Gdy brat Władysław wrócił z Przytulanki do domu, pracował na kolei jako spawacz. Żył dobrze ze swoim majstrem - Niemcem, spawaczem z zawodu, kierującym robotami. Od czasu do czasu dawał mu kawałek słoniny czy gomółkę masła lub mięso, które przynosiłem z Przytulanki. Ten majster wysyłał paczki żywnościowe do swojej rodziny w Rzeszy, bo im też brakowało jedzenia. Na początku 1944 roku, kiedy i ja wróciłem ze wsi do domu, brat załatwił mi bez trudu u tego Niemca zatrudnienie i też pracowałem na kolei jako spawacz.

Jeszcze u ciotki w Przytulance dołączyłem do grupy oporu. Prowadził ją sąsiad Stanisław Roszko i powiedział mi o tym. Dodał, że utrzymuje kontakt z jakimś łącznikiem o pseudonimie “Wilk”, który ma radio i słucha wiadomości "Wolnej Europy", nadawane z Londynu. Że grupa posiada broń i amunicję, głównie karabiny ruskie, niektóre z poucinanymi lufami, łatwe do schowania pod ubraniem. Że ma również granaty, pochowane pod strzechami chlewików, obór i stodół. Roszko pokazał mi swój karabin. Wyjął go ze schowka pod strzechą spichlerza ze zbożem i kartoflami.

Był po wojsku i uczył chłopaków ze wsi, jak posługiwać się karabinem, granatem, pistoletem. Spotykali się w lesie w umówionych miejscach. Posługiwali się pseudonimami i oczekiwali na rozkazy. Roszko kontaktował się z innym, podobnym konspiratorem, ale jego nazwiska nie znał - łącznikiem z prawdopodobnie leśnej partyzantki. Odbierał on czasami zebraną przez nas żywność. Raz jeden zjawił się dowódca okręgu AK Aleksander Rybnik. Zorganizowaliśmy dla niego furmankę i przewieźliśmy go nocą do wsi Letniki w Puszczy

Knyszyńskiej. Dowiedziałem się później, że Rybnik zginął po wojnie na przesłuchaniach w Urzędzie Bezpieczeństwa. Jego pomnik stoi dziś pod kościołem w Starosielcach.

Przyłączyłem się do grupy Roszki. Obrałem sobie pseudonim "Wrzos" - jak wrzos leśny: delikatny, skromny... i łatwy do podeptania.



L. Wrzos, olej, 42x64 cm, 1962 r.

Później, kiedy do grupy werbowano kogoś nowego ze wsi lub okolicy, to już ja przyjmowałem przysięgę. Cieszyłem się większym posłuchem niż sąsiad Roszko, ponieważ byłem na tym terenie obcy, niektórzy sądzili, że przyszedłem z lasu i chodzę do lasu. A mnie rzeczywiście nie widywano we wsi przez dłuższy czas, kiedy to nosiłem słoninę na Zubole lub do Kulesz.

Dodam tu, że po wojnie Roszko ożenił się z moją ciotką Bronisławą.

Na Zubolu mój stryj Izydor też miał kontakt z jakąś grupą oporu. W schowku pod podwaliną domu ukrywał broń. Przekazywaliśmy sobie wiadomości. Nie prowadziliśmy akcji dywersyjnych czy zbrojnych, bo na tym terenie Niemcy nie robili ludziom nic złego. Nazywało się to w AK staniem z bronią u nogi. Większe grupy partyzanckie organizowały co prawda nocne marsze po wsiach, podczas których przestrzeliwano od czasu do czasu karabiny. Wiadomości o takich przemarszach rozchodziły się błyskawicznie i trzymały Niemców w szachu.

Jesienią 1943 roku między Knyszynem a Starosielcami wysadzono w powietrze pociąg towarowy, ale żadna z grup oporu nie przyznała się do tego czynu. Nasi partyzanci nie posiadali odpowiedniego wyposażenia: trotylu, spłonek. Zamachu mogli dokonać jedynie dywersanci ruscy, zrzuceni na spadochronach na tyły wroga, w Puszczę Knyszyńską. Wtedy to Niemcy mieli dobrego stracha, front zbliżał się z każdym dniem. Po torach kolejowych chodziły wzmocnione patrole niemieckie. Czuło się burzę w powietrzu.



L. Wrzos, olej, 119x73 cm, 1967 r.

Dostałem w twarz

Po powrocie z Przytulanki na stałe do Starosielc nawiązałem kontakt z niejakim Bolińskim, który chodził zawsze z granatem i przynosił wiadomości z "Wolnej Europy" o froncie na wschodzie i zachodzie. On jeden tylko wiedział, jak duża grupa oporu działa w Starosielcach. Instruował ją w działaniu. Wiem, że w grupie tej był mój kolega Bernacki, z którym później znalazłem się w szkole oficerskiej. Ten kolega pozostał w wojsku i dosłużył stopnia podpułkownika. Do grupy należał jego brat Władysław i mój brat Władysław, którzy razem zginęli po wojnie z rąk bezpieki i leżą w jednej mogile.

Pracując "u Niemca" na kolei jako spawacz, prowadziłem dywersję. Otrzymałem polecenie niszczenia taboru kolejowego. Wagony po naprawie psułem więc, ile wlezie. Oczywiście nie każdego dnia... Sypałem piasek do maźnic kołowych, wyciągałem zawleczki z klocków hamulcowych, przebijałem węże, doprowadzające parę do hamulców. Wynosiłem z placów kolejowych materiały budowlane, węgiel, gwoździe, farby itd. i wymieniałem je na wsi na żywność. Wszyscy z grupy tak robili, każdy przy swoim warsztacie pracy, jeden o drugim nic nie wiedząc. Znało się tylko najbliższych, a o pozostałych słyszało się jedynie opowieści. Oto "Wilk" podpalił sztabel desek (to tyle, co piętrowy dom), "Wiatr" zablokował zwrotnicę. Informacje o podjętych działaniach przekazywało się łącznikowi. Ja mówiłem Bolińskiemu, a on informował dalej. Na przykład, że "Wrzos" wyciągnął zawleczki z jednego klocka hamulcowego. Każda najmniejsza dywersja szkodziła wrogowi. Groziła za to śmierć na miejscu.

Podobnie działał mój brat Władysław.

Aż nadszedł lipiec 1944 roku. Do Białegostoku zaczął zbliżać się front. Niemcy ładowali się na wagony i zaczęli ewakuację.

Wtedy dostałem od pilnującego robót Niemca w twarz. Tak, że zobaczyłem wszystkie gwiazdy. I to za to, że mój kolega gdzieś odszedł, a ja sam nie dałem rady załadować na wagon pieca karbidowego do wytwarzania acetylenu. Następnego dnia nie poszedłem do pracy. Ukrywałem się przez tydzień, aż nadszedł front.

Wyszliśmy z piwnicy

Front przechodził tydzień. Może nawet dłużej znajdowaliśmy się na linii ognia. Starosielce opanowywali raz Niemcy, raz Ruscy. Ostrzał trwał nieprzerwanie. Z ojcem, matką

i bratem Władysławem schowaliśmy się w piwnicy pod podłogą. Dzień w dzień słyszeliśmy lecące i rozrywające się pociski. Początkowo czuliśmy strach, że w nas trafią. Potem zaczęliśmy odróżniać pociski z moździerzy od tych z dział. Przeważnie nadlatywały moździerzowe, które po zetknięciu ze ścianą, a nawet z szybą, rozrywały się od razu. Z daleka słychać było, jak nadlatują: coraz głośniej wyły, wreszcie tuż-tuż wybuchały. Pomału przyzwyczaiłem się do melodii pocisków o różnych kalibrach, dużych i mniejszych, a nawet usypiałem, nie słysząc wybuchającego żelastwa.

Przez cały ten czas jedliśmy jedynie suchy chleb i popijaliśmy wodę. Czuliśmy się wycieńczeni. Chleb oszczędzaliśmy, nie wiedząc, kiedy przejdzie front.

Któregoś dnia, gdy na dłuższy czas zaległa cisza, otworzyłem właz piwnicy i wyszedłem na górę. Cała podłoga zasłana była potłuczonym szkłem. Spojrzałem przez okno. Pod ścianą domu stał żołnierz niemiecki. Miał podwinięte rękawy bluzy, a w hełmie gałązki z liśćmi. Zerknąłem w bok. A tam stał drugi, taki sam. Gdyby zobaczyli mnie, zastrzeliliby. Po cichutku cofnąłem się spod okna i wróciłem do piwnicy.

Nadszedł dzień 26 lipca 1944 roku, dzień imienin mojej matki Anny. Całą noc trwała cisza. - Pewnie Niemców nie ma. Zobaczmy, co się dzieje - powiedziała matka.

Wyszliśmy z piwnicy. Wszędzie szkło z okien, dach zawalony, rozbite kominy, a ściany domu posiekane odłamkami jak rzeszoto. Na ulicy leżał zabity Niemiec. Już bez butów, które zabrali sołdaty.

- Chodź, pójdziemy do Klepacz - powiedziała do mnie matka. W Klepaczach, kilometr od nas, przebywała moja siostra Halina. Wieś paliła się. - Czy coś złego ją nie spotkało, zobaczymy.

Matka wzięła kawałek chleba, owinęła go dużą czystą chustą i schowała na piersi pod bluzką. Poszliśmy. Prawie wszystkie domy, szczególnie te otynkowane, nosiły ślady ostrzału. Na domach drewnianych mniej było widać dziury po odłamkach. Po drodze spotkaliśmy dwóch ruskich żołnierzy. I tak doszliśmy do skraju Starosielc.

Pod jednym z domów stał ruski żołnierz, oparty o ścianę. Pewnie drzemał. I najprawdopodobniej ta drzemka stała się przyczyną naszego nieszczęścia. Gdy odeszliśmy od niego z siedemdziesiąt, może osiemdziesiąt metrów, raptem zasyczały kule. Potem usłyszałem terkot pepeszy i jęk matki, padającej na ziemię. Sądzę, że tamten żołnierz nacisnął spust bezwiednie, chyba równie zaskoczony strzałami, co my.

Matka krzyknęła: - Ręka! - Zobaczyłem, że jej dłoń jest we krwi. Zawinąłem dłoń chustką do nosa, którą miałem przy sobie. Dopiero potem matka krzyknęła: - Noga! - Popatrzyłem. Cała noga we krwi, rana powyżej kolana, krew płynęła mocno. Przestraszyłem się. Nie wiedziałem, czy wiązać powyżej rany czy poniżej. Wyciągnąłem matce spod spodu chustę z chlebem i nią owinąłem ranę, aby powstrzymać krew. Chciałem wziąć matkę na plecy, by nieść, ale nie dałem rady. Byłem słaby, wygłodzony. Chwyciłem matkę pod ramiona, uniosłem i pociągnąłem nogami po piasku w stronę domów. Ruski sołdat nie ruszył się.

Co kawałek przystawałem, płakałem. Gdy byłem już w pobliżu domów, zobaczyłem kogoś, znajomego z nazwiska. Zawołałem, by mi pomógł. Lecz on uciekł. Ciągnąłem dalej. Wreszcie ktoś podbiegł. Powiedział, że niedaleko mieści się wojskowy punkt opatrunkowy i pomógł mi donieść tam matkę.

Ruski sanitariusz opatrzył nogę. - Nada w hospital, a u nas podwody niet - powiedział. Zostawiłem matkę i pobiegłem po brata. Znaleźliśmy nosze u sąsiadów i zanieśliśmy matkę do szpitala w Białymstoku. Szliśmy siedem kilometrów. Byliśmy bardzo słabi, co parę kroków stawaliśmy, wymęczeni tak, że aż trudno opowiadać.

W szpitalu nie było miejsca, więc położyliśmy matkę na noszach na podłodze w korytarzu. Poskarżyła się, że zimno, więc coś podłożyłem jej pod plecy. Pobiegłem do domu, bo w szpitalu nie dali niczego do okrycia. Po dwóch godzinach wróciłem z kocem.

Lekarz opatrzył już ranę. Kość nie była naruszona. Uspokoiłem się. Wstąpiła nadzieja, że noga zostanie uratowana.

Co drugi dzień odwiedzałem matkę w szpitalu. Przynosiłem jej to, co siostra, ojciec i brat dostali we wsi za pracę: a to kawałek kury, a to parę jajek, zupę lub owoce. Powoli zaczęła czuć się lepiej, ale rana goiła się źle, ropiała, stawała się granatowa. Tę ropę ściągano knotami, co bardzo bolało. Po miesiącu wypisano matkę ze szpitala z niezagojoną raną.

We wrześniu 1944 roku dostałem powołanie do wojska. Matka została z ojcem, siostrą i bratem Władysławem. Chorowity brat Janek przebywał w tym czasie we wsi Przytulanka, u ciotki Maryśki. Matce powoli wyleczono nogę, ale pozostała ona na zawsze granatowa. Cierpiała na nogę do końca życia i mocno na nią kulała.

Znalazłem się w 4 zapasowym pułku piechoty w Białymstoku. Umundurowano nas. Z Białegostoku, gdzie składałem przysięgę, zawieziono nas na Majdanek. Znajdował się tam punkt zbiorczy żołnierzy, zakwalifikowanych do szkół oficerskich. Miałem w końcu te trzy klasy szkoły handlowej. Zakwaterowano nas w barakach po więźniach. Na Majdanku widziałem piece krematoryjne pełne jeszcze ludzkich kości, rów w kształcie litery "S" o głębokości pięciu metrów, w którym palono ludzkie ciała, przekładając je drewnem i polewając benzyną. Wszędzie unosił się swąd spalonych ciał.

Po tygodniu skierowano nas do Oficerskiej Szkoły Saperów w Przemyślu. W kwietniu 1945 roku byłem już po przeszkoleniu i egzaminach oraz z gwiazdką podporucznika. Otrzymałem przydział do 21 Samodzielnego Batalionu Saperów przy 10 Dywizji II Armii Wojska Polskiego. Dywizja ta brała udział w ofensywie styczniowej, idąc w kierunku Drezna przez Czechosłowację.



Ja z lewej

Do jednostki dotarłem w Mielniku w Czechach. Zostałem dowódcą 1 plutonu w 1 kompanii. Około 2 maja 1945 roku byliśmy pod Dreznem. Wtedy padł Berlin. Skierowano nas pod Wrocław. Gdy przybyliśmy 7 maja 1945 roku, padł właśnie Wrocław. Wojna skończyła się dla większości formacji wojskowych, lecz nie dla saperów. Zginęło jeszcze wielu żołnierzy.

Wojna z minami

Przystąpiliśmy do oczyszczania terenu z różnego rodzaju min i niewypałów, do naprawy dróg i mostów, do odblokowywania wrocławskich wiaduktów. Przyszło mi pracować przez prawie cały rok na polach minowych w okolicach Strzelina, Wrocławia i Bolesławca. Potem, zimą, stanęliśmy na Komendzie miasta Wrocławia i zabezpieczaliśmy

mosty. Do Komendy nadchodziły bez przerwy zawiadomienia o dostrzeżonych minach. Osobiście rozminowywałem Ratusz wrocławski, w PaFaWa-gu, czyli w Państwowej Fabryce Wagonów, rozbroiłem jednotonową bombę lotniczą. Oczyściłem z min piwnice Uniwersytetu Wrocławskiego i zajezdnię tramwajową. Po latach otrzymałem za to od władz miasta odznakę "Budowniczy Wrocławia", przyznaną przez tamtejszą Miejską Radę Narodową.

Pamiętam dobrze prace minowe na polach Strzelina. Nie mieliśmy żadnej dokumentacji, niemieckich planów rozmieszczenia min. Wiadomo było tylko, że są. W niektórych miejscach stały tabliczki: "Zdies miny". Działaliśmy na wyczucie.



Ja z prawej

Zawsze wchodziłem pierwszy na pole minowe. Tym razem również tak było. "Szczupem", czyli kijem o długości czterech metrów, zakończonym szpilką metalową, wybadałem przejście do obranego punktu pola. Tam wbiłem kołek w ziemię, wysoki na metr, i na tym kołku umieściłem minę przeciwczołgową, zawierającą pięć kilogramów trotylu. Wróciłem na miejsce i poderwałem minę. Wybuch spowodował eksplozje min przeciwpiechotnych, ukrytych w promieniu sześciu - siedmiu metrów, najgorszych dla sapera. Jakżeż się zdziwiłem, gdy wyleciał w powietrze również wbity przeze mnie kołek. Gdybym wbijał go pięć centymetrów w prawo, zostałbym bez nóg.

W ten sposób szukało się początku pola minowego. Wybuchy wskazywały, gdzie zaczyna się pole. Dzięki nim wiedziałem, jak ustawić żołnierzy do pracy. Przed przystąpieniem do działania zawsze pouczałem, że nie wolno się śpieszyć, że jeżeli któryś nie jest pewien, że usunie zapalnik, niech nie ryzykuje i zgłasza się do mnie. Powtarzałem ciągle, że saper myli się tylko raz.

Kiedy indziej wszedłem na pole minowe, zauważyłem granat przeciwczołgowy i podniosłem go bezmyślnie. Coś mi podpowiedziało, że to niewypał. Spociłem się cały. Rozejrzałem wokół siebie, szukając jakiegoś zagłębienia w terenie. Miałem szczęście. Blisko znajdowała się wyrwa po uprzednim wybuchu. Delikatnie przesunąłem ku niej dłoń z granatem, upuściłem w nią niewypał i padłem na ziemię. Nastąpił wybuch. Żołnierze, oddaleni ode mnie o trzydzieści metrów, przybiegli bladzi jak trupy. Jeszcze leżałem. - Panie poruczniku, co się stało? - Lekko podniosłem się. - Pamiętajcie, nigdy nie wolno dotykać niewypałów! - powiedziałem z miną dowódcy. Jestem przekonany, że gdyby na moim miejscu znalazł się żołnierz mniej doświadczony, nie przeżyłby.

Innym razem pracowaliśmy w dużym upale. Żołnierze pozdejmowali bluzy, a ja położyłem się w płytkim wąwozie, porośniętym trawą. Jakoś nie przyszło mi do głowy sprawdzać tę trawę. Po jakimś czasie podszedł do mnie mój zastępca, sierżant Caruk, który

pochodził ze Lwowa. Popatrzył na ziemię, potem na mnie, i zapytał: - Pan porucznik to sztywny w nogach jest? - Potem podłożył swoją stopę pod moją, chwycił za rękę i silnie pociągnął. Kiedy już stałem, chwycił mnie w pół i powiedział: - Pan porucznik patrzy, na minach leżał!

Rzeczywiście, jedna mina znajdowała się tam, gdzie jeszcze niedawno moja głowa, druga gdzieś przy pasie, a trzecia w nogach. W tym wąwoziku zdjęliśmy dwanaście min przeciwpiechotnych. A ja mogłem twierdzić śmiało, że strzegł mnie dobrze Anioł Stróż.

Po zakończeniu prac na polach minowych Wrocławia, latem 1946 roku mój batalion przerzucono w Bieszczady z rozkazem budowy granicy polsko - bolszewickiej. Kiedy dojeżdżaliśmy do Baligrodu, zobaczyliśmy smugi rakiet. To oddziały UPA powiadamiały się o nadchodzącym wojsku. Po drodze napotykaliśmy porozbijane mostki. Większe przeprawy popalono, tak że musieliśmy brodzić po ciekach wodnych w głębokich wąwozach.

Do miejsca przeznaczenia dotarliśmy z opóźnieniem. Rozbiliśmy obozowisko i od następnego dnia rozpoczęliśmy nasze prace. Wycinaliśmy las przy pasie granicznym, w wyznaczonych przez geodetów miejscach kopaliśmy doły na słupki graniczne. Ścięte drzewa malowaliśmy w biało-czerwone paski, przytwierdzaliśmy do nich orzełki i jako słupy wkopywaliśmy w ziemię. To była ciężka harówka, szczególnie przy słabym wikcie. Żołnierze dożywiali się jagodami, zbieranymi po drodze. Zdarzało się, że żołnierz przez cały dzień pracy nie dawał rady wykopać dołu o głębokości jednego metra. A kiedy natrafiało się na skałę, rozsadzaliśmy grunt materiałem wybuchowym. Słup musiał stać przecież w wyznaczonym miejscu.

Jabłko i góry białe w słońcu

Pracowaliśmy bez przeszkód ze trzy tygodnie. Aż pewnego wieczora, kiedy wszyscy poukładaliśmy się spać, rozległa się kanonada. Ostrzeliwano nasze namioty. Powyskakiwaliśmy z nich i odpowiedzieliśmy ogniem. Każdy strzelał gdzie popadło, tam gdzie wydawało się, że jest wróg – banderowiec. Czyli na oślep. Więcej tego typu ataków nie odnotowaliśmy.

Pewnego razu żołnierze wieźli prowiant z Baligrodu. Na drodze zostali ostrzelani z pobliskich wzgórz. Odpowiedzieli ogniem. Zabito wówczas dwa nasze konie, ale żaden żołnierz nie zginął.



Siedzę w środku

Kiedyś zostałem sam z trzema żołnierzami o kilka kilometrów od jednostki. Dla potrzeb dokumentacji fotografowaliśmy słupy graniczne. Zaskoczył nas zmrok.

Zdecydowałem przejść na stronę sowiecką. Doszliśmy do strażnicy i w niej, sympatycznie przyjęci, zanocowaliśmy.

Zakończyliśmy budować granicę gdzieś w październiku 1946 roku i zeszliśmy z gór w dolinę Sanu. Następnego dnia z rana stałem pod jabłonką, na której znalazłem jabłko - ależ ono mi smakowało - i popatrzyłem na góry. Były białe w słońcu, pokrył je pierwszy śnieg.

W tym czasie mój młodszy brat Władysław nie żył już od ośmiu miesięcy. Po moim powołaniu do wojska poszedł do leśnej partyzantki, słuchając tych kapłanów z Londynu, przez których zginęło tysiące ludzi w powstaniu warszawskim i po wojnie w kraju. AK zostało rozwiązane z początkiem 1945 roku, ale niektórym watażkom nie spodobało się złożenie broni i działali dalej na własną rękę. Do takiej grupy przystąpił mój brat w najlepszej wierze, że wywalczy wolność kraju.

Ktoś zdradził

Zginął 26 lutego 1946 roku, kiedy ja rozbrajałem miny we Wrocławiu. Na jego oddział partyzancki napadła bezpieka. Bardzo przeżyłem śmierć brata.

Niestety nie znam szczegółów, żadnych bliższych okoliczności tego wydarzenia. Młodzi chłopcy. Bez żadnego przygotowania wojskowego. Zostali otoczeni pod wsią Morusy niedaleko Krypna i Knyszyna. W sześciu ukryli się w dole. Do tego dołu ubowiec wrzucił granat i wszystkich zabił. Dowódcy grupy, porucznika “Jura”, nie było z nimi. Tyle usłyszałem od ludzi.

Podejrzewam, że ktoś ich wydał. Ciążyli przecież okolicznej ludności, która musiała ich żywić. Dowiedziałem się później, że dowódca grupy “Jur” nazywał się Piotrowski. Jeżeli pochodził on z rodziny, którą znałem, to jego ojciec pracował jako urzędnik kolejowy w Starosielcach i przed wojną paradował na wszystkich defiladach z krzyżem Virtuti Militari. Młody Piotrowski został powołany do wojska podobnie jak ja i skierowany do Oficerskiej Szkoły Saperów. Po miesiącu cały pluton, w którym on służył, uciekł z wojska. Pamiętam, że poszukiwała ich bez rezultatu cała szkoła. Ale “Jur” to był pewnie inny Piotrowski, bo gdyby wywodził się z naszych stron, powiedziano by mi o tym.

Moje ostatnie spotkanie z bratem miało miejsce podczas krótkiego urlopu z wojska. Odwiedziłem rodziców, a tego dnia ze Starosielc przyjechałem do Kulesz, zobaczyć dziadków. Partyzanci zjawili się akurat we wsi. Brat przyszedł do domu wieczorem. Ucałowaliśmy się. Był rozdygotany, nerwowy, ręce mu drżały. Wpadł tylko na kilka chwil, pożegnał się ze mną i poszedł do swoich.

Przeglądałem książkę o działalności AK na Białostocczyźnie. Znalazłem w niej wzmiankę, że jakiś Piotrowski dowodził grupą partyzancką w okolicach Knyszyna i Moniek. Nic poza tym.

Dziś, dwadzieścia cztery kilometry od Białegostoku, w Krypnie, cztery kilometry od Knyszyna, znajduje się bratowa mogiła z pięknym pomnikiem, postawionym w nowej Polsce przez Światowy Związek Armii Krajowej w Knyszynie.

Na pomniku jest tabliczka: "Ufundowany z ofiar społeczeństwa" i napis: "Tu spoczywają żołnierze Armii Krajowej polegli za wolność". Kilka nazwisk, wśród nich mój brat: Sobolewski Władysław, ps. Janek, lat 19, "żołnierz Armii Krajowej z oddziału por. Jura".



Mogiła brata

Chyba przyczyniłem się do powstania tego pomnika. W 1989 roku byłem na cmentarzu w Krypnie. Sadziłem kwiaty na grobach. Podszedł do mnie jakiś człowiek i zapytał, kim jestem. Odpowiedziałem. A potem powiedziałem mu, że miejscowa organizacja AK powinna położyć partyzantom choćby kamień z napisem. W końcu kamień to nie problem. - Kiedyś na polach leżało mnóstwo dużych kamieni, ale dziś pewnie takich nie ma - wyraziłem powątpiewanie. Ten człowiek odpowiedział, że i dziś znajdzie się kamień. Nie przedstawił się, ale domyślam się, że był to ktoś z zarządu miejscowego AK. Rozmawialiśmy wiosną, a już jesienią pomnik stanął. W jego odsłonięciu uczestniczyła delegacja z Białegostoku.

Elegancka gabardyna

W końcu 1946 roku, po skończeniu budowania granicy w Bieszczadach, wróciliśmy do koszar, do Jeleniej Góry. Zaczęła się demobilizacja. Mogłem zostać w wojsku, awansować, ale za bardzo śmierdziało mi ono komuną. Poprosiłem o zwolnienie do cywila i w marcu 1947 roku znalazłem się w domu.

Na pożegnanie służby dostałem gabardynę na uszycie munduru wojskowego. Ale po co mi mundur? Uszyłem gabardynową marynarkę sportową i bryczesy. Do tego miałem nowe buty. Wyglądałem elegancko i byłem z tego powodu bardzo zadowolony.

W domu zastałem biedę, mimo to wszyscy dawali sobie jakoś radę. Matka cierpiała na nogę ciągle granatowo-siwą. Nacierała ją maściami i owijała, czując chłód. Ojciec też chorował. Ojciec i brat Janek pracowali na kolei, siostra chodziła na kurs fryzjerski. Musiałem pomyśleć o swojej przyszłości. Zaproponowano mi pracę urzędniczą na kolei, ale chciałem się uczyć, ukończyć jakąś szkołę.



Od prawej: ojciec, siostra, brat Jan, matka i ja

W 1947 roku pojechałem do Olsztyna, do technikum kolejowego. Powiedziano mi, że jestem za stary. Po tygodniu spotkałem dwóch kolegów - wojaków w takiej samej sytuacji jak ja. Uzgodniliśmy, że pojedziemy do Wrocławia, do technikum budowlanego. W Białymstoku nie było wówczas odpowiednich szkół. Po wstępnym krótkim egzaminie w 1948 roku mnie przyjęto, lecz ich nie. - Chyba nie zostaniesz tu sam - powiedział jeden z kolegów. - Przyjechaliśmy razem i musimy znaleźć coś dla wszystkich. W Toruniu mam siostrę, nauczycielkę, ona nam pomoże.

Jesienią 1948 roku pojechaliśmy do Torunia. Dwa dni spaliśmy na podłodze, ale zostaliśmy przyjęci na roczny kurs przygotowawczy na wyższą uczelnię. Po roku ukończyliśmy ten kurs i w 1949 roku zaczęliśmy studiować biologię na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Co piękne... niedługie

Po ukończeniu studiów w 1952 roku, na kierunku botanika, postarałem się o przydział pracy w rolnictwie, bo płace tam były wyższe niż w szkolnictwie. Ożeniłem się i jeszcze przez rok mieszkałem w Toruniu, czekając na ukończenie studiów przez żonę. Do pracy dojeżdżałem do Bydgoszczy. Golgota: rano wyjeżdżałem o piątej i wracałem o piątej po południu lub później, w zależności od pociągu. Pracowałem w terenie, chodziłem po wioskach i uzgadniałem sprawy zagospodarowania użytków zielonych. Do tego nie były potrzebne żadne studia. Przeklinałem tę pracę, czułem się załamany i wykończony fizycznie.



W tamtych latach...

Żona, po ukończeniu studiów też biologicznych, ale na kierunku zoologia, dostała przydział pracy do szkoły w Lęborku. Odpowiadało mi to. Mogłem podjąć pracę w niedalekim Wejherowie, w tym samym przedsiębiorstwie, co w Bydgoszczy. Tylko że znowu dojeżdżałem. Rozpocząłem do tego zaoczne studia w Wyższej Szkole Rolniczej w Olsztynie. Zarabiałem trochę więcej, ale kosztem zdrowia. Urodził mi się syn Janusz.

Po trzech latach nastąpiła reorganizacja przedsiębiorstwa. Zostałem przeniesiony do Wydziału Rolnictwa Powiatowej Rady Narodowej w Lęborku i nareszcie odetchnąłem. W 1956 roku ukończyłem studia z tytułem inżyniera rolnictwa. Pracowałem od ósmej do piętnastej, obiad jadłem o czasie, życie stało się normalne, a praca potrzebna ludziom. Zajmowałem się osobiście melioracją kilkuset hektarów łąk w całym powiecie, zabezpieczeniami przeciwpowodziowymi, w tym od strony morza, edukacją rolników.

Zaczęło być pięknie. W 1962 roku kupiliśmy samochód na raty, moskwicza.



Przy wymarzonym aucie

Co roku gdzieś jeździliśmy na wycieczki: po kraju lub też za granicę: na Węgry czy do Bułgarii. Syn dobrze się uczył. Ludzie zazdrościli nam wszystkiego. A mnie obrazów, które malowałem w wolnych chwilach. O kopię jednego z obrazów z czaplami poprosiła nawet - w ramach spodziewanego podziękowania - lekarka, która złożyła złamaną rękę syna.



L. Wrzos, olej, 119x70 cm, 1961 r. (wg Chełmońskiego)

Ale to, co piękne, nigdy nie trwa długo. Dały o sobie znać dawne trudy życia. Zachorowałem na wrzody dwunastnicy, ale wyszedłem z choroby. W małżeństwie nie działo się najlepiej.

W pracy zaczęto naciskać, abym wstąpił do partii. Mogłem zajść wysoko w służbowej hierarchii. Odmówiłem, więc podstawiano mi nogi, pomijano w awansach. Zawisła nade mną groźba zwolnienia. W międzyczasie przyznano mi odznaczenie "Zasłużony dla Ziemi Lęborskiej". Demonstracyjnie nie przyjąłem tego odznaczenia i zostałem zdjęty z zajmowanego stanowiska zastępcy kierownika Wydziału Rolnictwa PRN w Lęborku.



Mogłem zajść wysoko

Musiałem szukać zajęcia w innym powiecie. W 1976 roku przyjęto mnie do Wojewódzkiego Ośrodka Postępu Rolniczego w Lubaniu koło Kościerzyny. Mój teren pracy obejmował powiat lęborski i tylko raz w miesiącu dojeżdżałem do Lubania na odprawy i narady robocze. Pracę pamiętam jako nową i wymagającą. Uczyłem się wielu nieznanych mi

działów rolnictwa, by odpowiadać na specjalistyczne pytania. Po dwóch latach zacząłem zbierać pochwały od przełożonych.

Upływał dzień za dniem, rok po roku...

Mój chorowity, kulejący brat Janek wpierw pracował jako kancelista na kolei, potem przeniesiono go służbowo do Polanicy Zdroju. Zatrudniono go tam jako kasjera biletowego na dworcu kolejowym. Owdowiał prędko. Miał syna Jerzego, o rok starszego od mojego syna. Ożenił się po raz drugi w Kłodzku. Zachorował na cukrzycę. Zmarł na zawał serca w wieku pięćdziesięciu czterech lat i został pochowany w Kłodzku.

W kraju zaczęła działać "Solidarność". Ja zachorowałem na raka prostaty. W 1984 roku umarł mi ojciec. Żył dziewięćdziesiąt lat. Chora matka została sama.

Siostra Halina osiadła w Czarnej Białostockiej, trzydzieści kilometrów od Białegostoku. Wyszła za mąż za technika budowlanego, ale on szybko zmarł, chory na gruźlicę. Wyszła za mąż po raz drugi - za wdowca, pochodzącego ze wsi Przytulanka, brata Stanisława Roszki..., o nazwisku Rożko, a imieniu Antoni. Kto by miał tam głowę w rodzinie do jednolitej pisowni nazwiska w urzędowych papierach...

Przeszedłem na emeryturę. Wyjechałem do Starosielc i zająłem się obłożnie chorą matką. Po trzech latach, w 1989 roku, matka umarła w wieku osiemdziesięciu ośmiu lat.

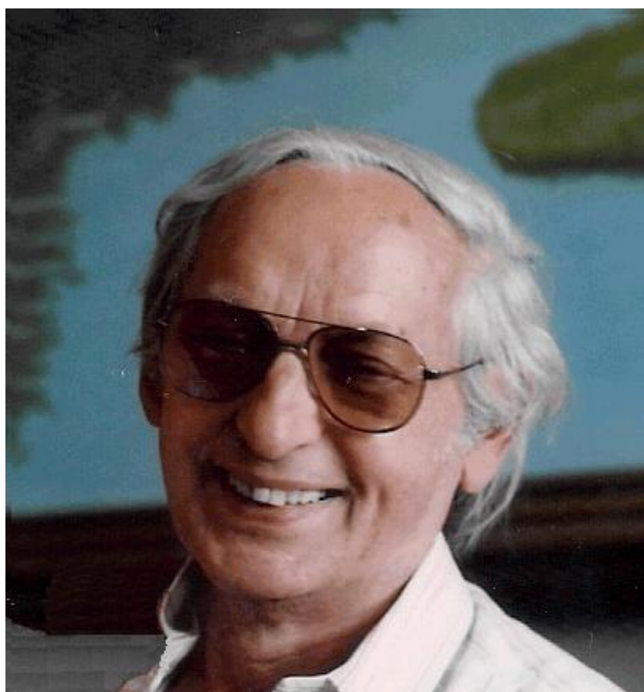
Skończyło się też moje małżeństwo. Po rozwodzie w 1993 roku poprosiłem siostrę cioteczną, aby zabrała mnie do siebie. W ten oto sposób powróciłem do Starosielc.

Mieszkam u córki mojej ciotki Genowefy Sadowskiej. Moja gospodyni nazywa się Anna Parejko, jej mąż ma na imię Zygmunt. To dobrzy ludzie. Ich dzieci: Agnieszka jest w szóstej klasie, a Wojtek w czwartej.

Parejkowie odnoszą się do mnie z szacunkiem. Czasem pomagam dzieciom w nauce. Hanka stara się, by smakowała mi jej kuchnia.

Hanka utrzymuje stały kontakt z Basią - córką swojej siostry Heleny, która mieszka w USA. Zdarza się, że przygotowują wspólne obiady. Helena co jakiś czas dzwoni ze Stanów i co może, to podsyła.

Hanka ma jeszcze brata Bogdana Sadowskiego, który kiedyś był stolarzem, teraz pracuje jako ochroniarz. Jego żona Danuta jest przełożoną pielęgniarek w szpitalu dziecięcym. Mieszkają z dziećmi w willi po rodzicach Danki. Wszyscy często odwiedzają się.



Z Czarnej Białostockiej przyjeżdża moja siostra Halina. Pracowała w jakichś zakładach wojskowych i skaleczyła trwale rękę. Teraz pobiera swoją emeryturę, a jej mąż swoją. Dzieci nie ma.

Kiedyś, kiedy byłem małym chłopcem, siedziałem z bratem Jankiem na ławce przed domem. Przyszła Cyganka. Zajrzała do izby. Potem, żegnając się z matką, popatrzyła na nas i powiedziała: - Jeden będzie miał dwie żony, a drugi będzie na starość samotny. - Nikt nie zwrócił uwagi na to gadanie. Cyganka plecie, co jej ślina na język przyniesie, pomyślałem.

Przepowiednia sprawdziła się: brat miał dwie żony, a ja zostałem samotny jak ta polna grusza. Skąd Cyganka to wiedziała? Jaki ten świat tajemniczy. Mogę tylko wierzyć i wierzę, że człowiek, rodząc się, otrzymuje marszrutę swojego życia, na której wypisano, co go czeka. To wszystko, co zaplanowane, musi go spotkać i spotyka. Taki jest jego los. Wszystkie zapisane radości, bóle, kłopoty przeżywa. Nawet o pół kroku nie odstępuje od swego przeznaczenia, bo to jest jego los.



Z wnuczkiem Bartkiem, na pamiątkę, 28.12.1999 r.

Inni zdobyli więcej. Ale ja niczego więcej nie pragnąłem i nie otrzymałem więcej. Dziękuję Bogu za to, że żyję, za trochę jasnych dni w życiu. Było mi często pod górkę. Nie wszystkie swoje możliwości spożytkowałem. Posiadałem przecież uzdolnienia malarskie (moje obrazy podpisywałem "L. Wrzos", wiszą one w domu syna i u innych ludzi), miałem też niezły głos.



L. Wrzos, olej, 39x29 cm, 2001 r.

Nikt tego nie wypatrzył, nie pomógł, nie wskazał właściwego kierunku kształcenia. Tak miało być. Inni są diamentami, ja piaseczkiem. Takim plażowym, wymytym przez życie. Diamenty dobrze wyglądają na piasku, dzięki temu i piasek nabiera wartości.

Mija mi osiemdziesiąty rok życia. Jestem coraz słabszy fizycznie i zniszczony chorobą, wymagam ciągłej opieki i specjalnego odżywiania. W ostatnich latach trochę popodróżowałem jako turysta. Chciałbym jeszcze zobaczyć - po Jerozolimie, Grecji, Półwyspie Iberyjskim i Maroku - Francję... Ostatnią wycieczkę do Włoch mocno odchorowałem.





Po "Ścianie płaczu" - lot

Udzielam się w Związku Kombatantów Rzeczypospolitej Polskiej i byłych Więźniów Politycznych w Białymstoku. Mam tam dobrych znajomych. Z pułkownikiem Waleśko byłem w jednej, siódmej kompanii w szkole oficerskiej, tylko że on służył w trzecim plutonie, a ja w pierwszym. Członkiem honorowym naszego koła jest pułkownik Urbanowski, odznaczony krzyżem Virtuti Militari za walki pod Kołobrzegiem. W zarządzie jest major Matowicki, który podpadł władzom prawicowym III RP i dopiero niedawno został zweryfikowany jako członek. Jest pani Rogalska, która prowadzi biuro i załatwia raz w roku zapomogi z funduszu kombatanckiego na lekarstwa, opał i inne potrzeby dla osób z emeryturami poniżej sześciuset złotych.

Jestem przewodniczącym komisji odznaczeń w kole i typuję ludzi do medali i awansów. Oczywiście mnie typuje kapituła: płk Waleśko, mjr Matowicki, płk Urbanowski - do odznaczenia "Za rozminowanie kraju".

W tej chwili posiadam: 1) Medal Zwycięstwa i Wolności 1945; 2) medal ruski za zdobycie Niemiec "Nasze dieło prawoje - my pobiedili"; 3) Odznakę Grunwaldzką za czynny udział w walkach z Niemcami; 4) odznakę AK za akcję "Burza"; 5) Krzyż Armii Krajowej; 6) odznakę Budowniczy Wrocławia; 7) Złoty Medal za Walkę z Powodzią; 8) za walkę o granice Polski - Medal za Odrę, Nysę i Bałtyk; 9) Krzyż Związku Kombatantów; 10) Krzyż Weterana Walk o Niepodległość; 11) Brązowy Krzyż Zasługi.

I tyle.



Choć o każdym medalu czy krzyżu można by opowiadać...

Leopold Sobolewski, *Białystok, październik 2001 r.*

*

Dzień pogrzebu autora wspomnień Leopolda Sobolewskiego

- 12 kwietnia 2006 roku



Janusz L. Sobolewski (syn) drugi z prawej, Anna Sobolewska (b. żona) w kapeluszu





Janusz L. Sobolewski (syn) z lewej



Grób rodzinny na cmentarzu przy ul. Św. Boboli w Białymstoku,
po lewej stronie ścieżki drugi grób w rzędzie - ok. 100 m od wejścia na cmentarz rzym.-kat.,
20 m za wysokim krzyżem okolicznościowym (2019). Sektor 8, rząd 13, nr grobu 2.



Rodzina w Wikipedii:

Anna Sobolewska (działaczka społeczna) – żona:
https://pl.wikipedia.org/wiki/Anna_Sobolewska_(dzia%C5%82aczka_spo%C5%82eczna)

Janusz L. Sobolewski - syn: https://pl.wikipedia.org/wiki/Janusz_L._Sobolewski